

LUBLIN



FOTOGRAFIE I OPRACOWANIE
EDWARD HARTWIG
TEKSTY JULIA HARTWIG

SPORT I TURYSTYKA * WARSZAWA 1956

Nie był nigdy Lublin dostojną stolicą Rzeczypospolitej jak Kraków, nie zrodził się z jednego śmiałego projektu utalentowanego architekta jak Zamość, a przecież należy do najpiękniejszych miast w naszym kraju, do miast o za-
bytkowej architekturze i szacownych tradycjach. Uroda jego wywarła też wielki wpływ na artystów, którym dane było zetknąć się z tym pełnym uroku miastem. Opiewali je poeci, utrwalali czar jego malarze. Nie pozostała też nieczuła na jego wdzięki kamera fotografika. Album, który przekazujemy dziś naszym czytelnikom, powstał w ciągu wielu lat współżycia z Lublinem, z umiłowania jego malowniczych kamienic i zaułków, tak odmiennych o każdej porze dnia, o każdej porze roku. Z powszednich dni. deszczowych, słonecznych, czy zasypanych śniegiem, z odbywanych przez długie lata wędrówek wzdłuż znajomych ulic. pozostał na zawsze w pamięci widok domów i przechodniów śpieszących rano do pracy; gwar niedzielnego tłumu w pięknym miejskim Ogrodzie Saskim, wśród bujnych drzew i krętych alejek, gorączkowy rozgwar dni targowych na ulicy Świętoduskiej; pulsujące odmiennym niż śródmieście rytmem życie przedmieść. Tak rok po roku powstawał bogaty zbiór zdjęć lubelskich. Zwłaszcza z ulubionych zakątków Starego Miasta, odwiedzanych najchętniej wczesnym rankiem, kiedy po zamglonych ulicach odbywają nieśmiałą przechadzkę jedynie pierwsze promienie ukazującego się słońca. Długo nie odnawiane mury kamieniczek widoczne na tych zdjęciach lśnią w pierwszym słońcu całą gamą chropowatości, w przepastnych bramach czai się jeszcze nocny mrok.

Niezapomniane jesienne poranki lubelskie... Kamieniczki ulicy Olejnej toną w złotej mgle, unoszącej się z łąk nadbystrzyckich. Plac Farny, pokryty zwiędłymi liśćmi, robi wrażenie wielkiego okna, z którego rozciąga się szeroki widok na okolice przyzamkowe. Wczesny przechodzień nierzadko natknąć się mógł o tej porze na malarza pracującego pilnie przy rozstawionych sztalugach; bywało, że tak zatopionego w pracy potrąciła lekko pyskiem szkapą ciągnąca wózek ze śmieciami, że zagapił się na barwny szkic obrazu stróż o sumiastym wąsie, leniwie drapiący miotłą jezdnię pod staromiejską bramą; że furknęła obok spódnica mleczarki roznoszącej w bańkach mleko. Lubelskie poranne mgły. lubelskie noce księżycowe, uduchawiające swym blaskiem gzymsy starożytnych kamienic i fantastycznie sfalowane bruki, znalazły w artystach lubelskich wielu swoich piewców. Gdziekolwiek sięgnąć, nie tylko w tomikach poezji i albumach grafiki lubelskiej. ale nawet w starych księgach i pamiątkach, wszędzie znaleźć można zdania świadczące o uroku jaki wywierać musiało to miasto na przybyszów.

Stare ryciny i stare obrazy świadczą, jak bardzo uzasadnione były te zachwyty współczesnych. Na sztychu Hogenberga z 1618 roku zamieszczonym w księdze Jerzego Brauna „Civitates orbis terrarum” ukazuje się nam Lublin jako wspaniałe miasto, gęsto zabudowane domami, nad którymi górują strzeliste wieżycy kościołów i bram miejskich; podobnie imponująco przedstawia się ono na zachowanych do dziś obrazach, z których jeden, z 1719 roku, wyobraża pożar Lublina, drugi — wjazd do miasta w roku 1826 namiestnika Józefa Zajączka. Malarze wieku XIX i XX utrwalali widoki Lublina w drobniejszych, bardziej intymnych fragmentach. Najczęściej ze Starego Miasta. Wśród sławniejszych autorów wyliczyć tu możemy obrazy Aleksandra Gierymskiego, tekę lubelską L. Wyczółkowskiego, rysunek Bramy Krakowskiej Orłowskiego, rysunki A. Lerue, litografie i rysunki J. Gumowskiego. Malarzy współczesnych, których pociągały tematy lubelskie niesposób wyliczyć, tak było ich wielu.

Odrębną rolę w utrwalaniu zmiennego wizerunku tego miasta odgrywa fotografia. Dzięki niej ukazuje nam ono tysiąc swoich twarzy, niezafałszowanych i wiernych. Spróbujmy idąc ulicami Lublina wskrzesić jego dzieje, rozsmakować się w jego urodzie, przypomnieć zmienne jego losy, tak często wspólne z losami innych miast polskich.

Zacznijmy od Krakowskiej Bramy, jednej z najtypowszych budowli Lublina. Jej wyniosła i mocna sylwetka stała się symbolem miasta również dla tych wszystkich, którym nie zdarzyło się nigdy do niego zawitać. Dla tych, którzy znają je tylko z widokówek i prospektów turystycznych, brama ta jest ciekawym zabytkiem średniowiecznego budownictwa. Zbudowana za czasów Kazimierza Wielkiego, uległa przebudowie w wieku XV i XVII, wtedy też otrzymała barokowy hełm, do dziś zachowany.

Przez Bramę Krakowską, stanowiącą niegdyś część obwarowania, wchodzimy na Stare Miasto, które stanowi jedną z najpiękniej zachowanych zabytkowych dzielnic w Polsce. Leży ono na malowniczym wzgórzu o stromych zboczach spadających ku zielonej dolinie Bystrzycy. Z kwadratowego rynku znajdującego się w centrum Starego Miasta idziemy ulicą Grodzką w stronę Zamku odbudowanego w XIX wieku w stylu neogotyckim z ruin renesansowej budowli i przeznaczonego przez rząd Królestwa Kongresowego na więzienie. Ze wzgórza staromiejskiego, dokładniej — z placu „Na Farze” i ze wzniesienia zamkowego, otwiera się szeroki widok na miasto i okolice. Widać stąd szerokie przestrzenie łąk i bujne zielone ogrody, ukryte wśród cienistych drzew owocowych, za ogrodami ciągną się różnobarwne placyki ogródków działkowych z łątanymi papą daszkami budek, dalej znów łąki. Na horyzoncie wyraźnie odcinają się trzy szare graniastosłupy elektrowni, kominy i ciężki blok osiedla mieszkaniowego na Bronowicach. Wędrując dalej wzrokiem po widnokręgu, natrafimy na sylwetkę największej w Polsce fabryki samochodów ciężarowych — dumę nowego Lublina, i nowoczesne budynki drugiej elektrowni. Naprzeciw Zamku piętrzy się wysoko sklepione wzgórze Starego Miasta, tak gęsto zabudowane, że na pierwszy rzut oka wygląda jak masyw jednego, bogato uformowanego gmachu. Potem dopiero, przenosząc wzrok po ostrym zboczu powyżej krętej linii Podwała, musującego bujną zielenią sadów, rozróżniamy białą ścianę obronnego niegdyś klasztoru dominikanów z wieżą uwieńczoną zaśnieżonym

hełmem, dalej czub Bramy Trynitarńskiej i kryte czerwoną dachówką i blachą dachy domów. Niżej, u stóp tych domów i u stóp Zamku jaśniej dziś gładka płyta placu zebrań, obramowana półkolem nowowzniesionego osiedla mieszkaniowego.

Ten, kto znał Lublin przedwojenny, stanąłby zdumiony, znalazłszy się tam dziś znowu: w 1954 rozpoczęto prace nad gruntowną rekonstrukcją zniszczonych zabytków starego Lublina; znaczna część ukończona została w lipcu 1954, w dziesiątą rocznicę PKWN i Manifestu Lipcowego.

Trudne i odpowiedzialne zadanie odbudowy powierzone zostało zespołowi generalnego projektanta, profesora Kuzmy. Był to ten sam zespół, który opracował projekt odbudowy warszawskiej Starówki. Tym razem zadanie, które zostało mu powierzone, różniło się zasadniczo od poprzedniego: szło tu nie o rekonstrukcję od podstaw, o odbudowę całej nieistniejącej, bo doszczętnie wyniszczonej przez wojnę dzielnicy, nie o wskrzeszenie dawnej architektury w pierwotnym jej kształcie, ale o dokonanie równie trudnego może dzieła: szło o rekonstrukcję istniejącej, żywej, ale karygodnie przez lat dziesiątki zaniedbywanej zabytkowej architektury; o przywrócenie kamieniczkom Starego Miasta ich dawnego piękna, o rekonstrukcję klatek schodowych, krużganków, bram, otworów okiennych i dachów, o doprowadzenie wreszcie domów do stanu lepszej „mieszkalności”. Wiele tych kamienic ulegało w ciągu wieków kilkakrotnej przebudowie, toteż konserwatorom starego Lublina nieraz zdarzyło się odkryć na budynkach renesansowych pozostałość łuku gotyckiego, wcześniejszy portal, obramienie okienne, a nawet wątek murów z czternastego czy piętnastego wieku tuż obok domu z bujnymi barokowymi zdobami lub kamieniczki w stylu klasycystycznym. A przecież to tak odmienne stylem sąsiedztwo nikogo nie razi, przeciwnie, wskazuje na swobodny rytm narastania historii i zmiennych ludzkich umiłowañ.

Projektantom szło o wydobywanie w całej jasności i wyrazistości średniowiecznego założenia urbanistycznego Lublina. Projekt prof. Kuzmy nie ograniczał się zresztą do zabiegów oczyszczająco-kosmetycznych. W niektórych dziedzinach planowano daleko idące, śmiałe zmiany. Dotyczyły one zwłaszcza otoczenia Zamku i powiązania go ze Starym Miastem. Po usunięciu gruzów z dawnego Podzamcza teren otaczający Zamek miał zostać znacznie obniżony i wyrównany, co pozwoliło na uwydatnienie malowniczości jego położenia i wzgórze staromiejskiego. Klamrę spinającą Stare Miasto z Zamkiem utworzył wiadukt przeprowadzony między wzgórzem zamkowym i Bramą Grodzką. Wiadukt ten przypominać miał o dawnym moście zwodzonym. U stóp Zamku powstał wielki plac zebrań, zamknięty od zachodu blokami nowego osiedla, które w przyszłości rozbudowane zostanie do głównego traktu ulicy Stalingradzkiej. Obok wyznaczono śmiałą linię przelotu nowej, nieistniejącej dotąd, lubelskiej trasy W—Z.

Nakreślona w ten sposób kompozycja nigdy w tym kształcie właściwie nie istniała, nawiązuje ona jednak do bardzo dawnego układu starego miasta. Wydobywa centralne ośrodki architektoniczne, wokół których skupia się życie dzielnicy i wiąże je ze sobą w przejrzysty i logiczny sposób.

Przewidywano poza tym przeprowadzenie robót porządkowych w obrębie Bramy Krakowskiej i Grodzkiej wraz ze starym rynkiem i odbudową zniszczonych podczas wojny kamieniczek. Projekt ten obliczony na wykonanie w ciągu kilku zaledwie miesięcy, wymagał olbrzymiego wysiłku od ludzi, którym przypadł w udziale zaszczytny trud przebudowy Lublina. Od solidarnego, zgodnego biegu współpracy między projektantami

i wykonawcami, zawisło wykonanie na czas pięknego planu. Planu, który był zresztą zaledwie częścią projektowanej odnowy Lublina. Nie szło przecież tylko o to, by nadać miastu zewnętrzny tylko blask i polor. Architektura ta, zacna i szacowna, kryła w sobie, jak wspomnieliśmy, wiele zacofanych urządzeń sanitarnych: około sześćdziesiąt procent mieszkań w Lublinie nie posiadało urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych! Architekci postanowili rozszerzyć podwórka, wpuścić do domów więcej światła, zapewnić ich mieszkańcom wygodniejsze życie.

Wiosną 1954 roku prace przy odbudowie Lublina wezbrały gwałtownie na sile: cieplejsze już dni i zbliżający się termin 22 lipca — dzień w którym miano już w odbudowanym mieście uroczystie obchodzić 10-tą rocznicę PKWN — podwajały w ludziach zapał i siły. Ze wszystkich stron Polski zjechały zespoły tynkarzy, murarzy i cieśli. Przyjezdni mieszkali gdzie się dało, nie wybredzając, świadomi ciężkich zadań jakie ich czekają i konieczności zmobilizowania wszystkich dostępnych sił i talentów. Na poszczególnych odcinkach placu budowy pojawiły się transparenty z napisami: „Załogi budowlane Świdnika, Poznania, Szczecina, Kalisza, śpieszą z pomocą Lublinowi”. Rozpoczęła się rywalizacja między załogami przybyłymi z różnych miast. Do pracy stawano często przed świtem, rozbudzając się z nocnego otumanienia żartami i pokrzykiwaniem. Nocą do późna paliły się na rusztowaniach światła ostrych żarówek. Gdzieś spod dachów dobiegał gwizd tynkarzy jak wołanie nocnych ptaków, objając się o rozgwieżdżone niebo. A nocce bywały jeszcze często przejmujące chłodem i szron osiadał na gałęziach drzew nagich, czarnych, nie okrytych liśćmi.

Okres ten był dla Lublina jednym z najciekawszych w jego historii. Życie codzienne Starówki nabrało niezwykłej intensywności, każdy dzień znaczył się nowym dokonaniem, nowym zwycięstwem nad czasem. Niemalże też to były osiągnięcia. Plan Zamku uległ zasadniczym zmianom: usunięto budynek administracji więziennej wznoszący się dotąd pod bramą wejściową, rozebrano kuchnię i łaźnię zajmującą środek dziedzińca. Do Zamku poprowadzono szerokie jasne schody. Na wewnętrznej ścianie, od podwórza, zaprojektowano loggie, pięknie urozmaicające dotychczasową monotonię ścian, wewnątrz podzielono na szeregi sal przeznaczonych na czytelnie, muzeum, sale koncertowe, świetlice. W najstarszej części Zamku, to jest w donżonie i kaplicy gotyckiej pod wezwaniem św. Trójcy rozpoczęto prace konserwatorskie. W kaplicy tej znajduje się najpiękniejsze dzieło malarstwa średniowiecznego na Lubelszczyźnie: są to freski wykonane na zamówienie Władysława Jagiełły przez malarza ruskiego Andrzeja. Freski te, utrzymane w ciemnym, lecz intensywnym kolorycie, łączą w ciekawy sposób elementy bizantyjskie z łańskimi. Sklepienie kaplicy wspiera się na jedynym ośmiobocznym filarze. Całe to niewielkie, lecz harmonijne wnętrze skryte w grubych i mrocznych zamkowych murach, wywiera niezapomniane wrażenie. Malowidła ściennie pokryte niegdyś w barbarzyński sposób tynkiem, odkryto w 1889 roku, a odsłonięto je i zrekonstruowano w latach 1917-18. Obecnie prowadzone są ponownie prace nad zachowaniem tego rzadkiego i wybitnego zabytku architektury i malarstwa.

Zamek lubelski ulegał w swych dziejach wielokrotnej przebudowie. W czasach Królestwa Kongresowego, jak już wspomnieliśmy, na miejscu ruin dawnego zamku królewskiego wzniesiono więzienie. Tu, wśród wielu więźniów politycznych przebywał długi czas Marian Buczek, który w pamięci współtowarzyszy pozostawił wspomnienie człowieka. Umiejącego w najtrudniejszych sytuacjach znaleźć drogę do ludzi i służyć im ra-

dą, podyktowaną doświadczeniem lat spędzonych w celi. Tu było miejsce hitlerowskiej kaźni i krwawej masakry więźniów dokonanej przez Niemców tuż przed ucieczką z Lublina, na kilka godzin przed wejściem I Armii i wojsk radzieckich. Obecnie Zamek lubelski przekształcony został na Dom Kultury.

Wykonanie polichromii Starego Miasta powierzono zespołowi artystów lubelskich i warszawskich, których część brała udział, z dużym sukcesem, w wykonaniu polichromii na warszawskiej Starówce. Lublin, po Warszawie i Gdańsku, to trzecia wielka próba stworzenia polichromii wielkiej całości architektonicznej; z tą jednak różnicą, że zarówno w Warszawie jak i Gdańsku szło o domy rekonstruowane bardziej lub mniej wiernie według dawnych, zburzonych podczas wojny zabytków, w Lublinie zaś malarze mieli do czynienia na ogół z architekturą zabytkową, której trzeba było nadać taką szatę plastyczną, która, nawiązując do dawnej tradycji, stanowiłaby równocześnie odbicie żywego do niej stosunku współczesnego artysty.

Kamienice na rynku lubelskim były niegdyś barwnie zdobione, wzmianki o tym znaleźć można w pamiętnikach historycznych i literaturze staropolskiej, dokładnych jednak opisów brak

Lubelski projekt polichromii Starego Miasta obejmował Rynek i ulicę Grodzką, plac Famy i najbliższe otoczenie Bramy Grodzkiej od strony Zamku. Przed wojną Lublin odnawiany już był przez artystów — artystów, ówczesny projekt polichromii obejmował tylko Rynek i domy przy ulicy Grodzkiej; koloryt Rynku utrzymany był w tonach ciężkich i jaskrawych, robił wrażenie ponure, nie przystawał jakby do kamienic, nie zdołał też pozyskać sobie serc mieszkańców Lublina. Tym razem projekt oparto na zupełnie innej gamie kolorystycznej, na żółciach i bielach. W tonach ciepłych, kremowych i żółtych poprzecinanych gdzieniegdzie silniejszymi akcentami fioletu i zieleni utrzymany jest Rynek. Ulica Grodzka, główna arteria Starego Miasta łącząca Rynek z Zamkiem, zabudowana przeważnie kamieniczkami pochodzącymi z XVI i XVII wieku jaśniej szaro-niebieskawymi bielami. Domy te ozdobione zostały po raz pierwszy zastosowaną w Lublinie, niezwykle udatną techniką reliefu, ciętego na jednobarwnym tynku, przez co uzyskano bardzo subtelne efekty delikatnie załamującego się światła.

Bogatej architekturze Rynku, który pamięta czasy wspaniałego rozkwitu miasta w epoce renesansu i baroku, przystoi ten złotogłów barw, bogactwo dekoracji, śmiałe ornamenty i ceramiczne ozdoby. Po co ujmować wspaniałości i bogactwa kamienicy Złotników, kamienicy pod Lewkami, domom, w których odbywały się biesiady mieszczkańskie, uświetnione najwspanialszymi winami wschodu i południa, gdzie ówczesne damy zjawiały się odziane w aksamity i futra, posługiwały się przedmiotami wykonanymi zręcznymi rękami rzemieślnika nie tylko polskiego ale i włoskiego, francuskiego czy niemieckiego, zasiadały na ławach przykrytych dywanami z Persji. Wspomnienie ówczesnych targów, jarmarków, „które nie miały sobie nigdzie wówczas równych”, wspomnienie nauk i rozkwitłej nad podziw sztuki, musiało znaleźć swój wyraz w architekturze. Do rozwoju tego miasta przyczynił się w dużej mierze Trybunał Koronny, najwyższa instancja sądowa dla Małopolski. W okresie jego urzędowania, to jest od wczesnej wiosny do zimy, do Lublina zjeżdżała gromadnie na rozprawy magnateria jak i drobna szlachta. Magnaci mieszkali podczas sesji Trybunału w pałacach do dziś zachowanych przy ulicy Królewskiej, drobniejsza szlachta w zajazdach lub domach prywatnych w okolicy Rynku. Przy ulicy Grodzkiej zamieszkiwali przeważnie członkowie sądownic-

twa lubelskiego. Obrady Trybunału odbywały się w gmachu stojącym do dziś pośrodku Rynku. Budynek ten, początkowo wzniesiony jako ratusz miejski, ulegał wielokrotnej przebudowie. Obecną swoją postać zawdzięcza architektowi Merliniemu, który przebudował go w XVIII wieku w stylu klasycystycznym.

Tych dostojnych wspomnień nie było potrzeby zacierać, przeciwnie, tu gdzie wieki późniejsze przegnały ich ślady, należało je na powrót wskrzesić. I tak wszystkie kamieniczki pochodzące z epoki renesansu odbudowane zostały w całym dawnym blasku: otrzymały one piękne attyki i bogatą polichromię. Domy pochodzenia późniejszego utrzymano w skromniejszym stylu. Np. u szczytu kamienicy znajdującej się na rogu ulicy Grodzkiej i Rynku, dobudowano śmiało i wyraziste łuki attyk, które uwieńczyły ją jak najwspanialsza korona, dodając całej sylwetce lekkości i polotu.

Rynek, zarówno w barwie jak i rysunku architektonicznym nasuwa przypomnienie Lublina z okresu Odrodzenia, „miasta wspaniałego i wesołego”, gdzie co krok przybysz natknąć się mógł na gospodę czy winiarnię oznaczoną wiechą słomianą, zielonym wieńcem lub krzyżem czerwonym, znakami, które oznaczały gatunki napojów jakimi częstowano gości — piwa, wina czy miodu. Często z gospód tych dobiegała muzyka, odgłosy śpiewów i tańca. Dudniły basy, piskały skrzypki, raz słuchano ich z uwagą, to znów wodzono się za łby, nie zważając na rytm biegnącej melodii. Ci sami biesiadnicy w niedzielę udawali się zapewne na uroczystą mszę, być może do pobliskiego, nieistniejącego dziś kościoła świętego Michała, już wówczas sędziwego, do tego kościoła gdzie około połowy piętnastego stulecia pełnili funkcje organistów słynni muzycy, najpierw Jakub z Lublina, potem Mikołaj Lubelczyk. I zapewne nawet przez głowę im nie przeszło, że wiele tańców jakie tańczą i pieśni jakie śpiewają, czy to „Zakłutam się tarniem”, czy „Idzie szewczyk po ulicy”, spisze potem autor słynnej tabulatury Jan z Lublina, przynoszący po dzień dzisiejszy chlubę swemu rodzinnemu miastu.

W Rynku, pod numerem 8, w piwnicy domu Lubomelskich, naznaczonym herbem tej rodziny, zachowała się jedna z takich winiarni: ciekawe freski widoczne na ścianach świadczą o wysokim poziomie ówczesnej sztuki dekoracyjnej, zaś napisy łacińskie i niemieckie — o szumnej wesołości tego przybytku, któremu patronowali zgodnie Bachus i Wenus.

Do przeszłości Lublina z owej epoki nawiązali plastycy zdobiąc scenami figuralnymi kamienicę Żaków, Rzemiosł, Muzyczną i Strażaków, dom Kochanowskiego i Modrzewskiego. Troskliwa ręka konserwatora odnowiła z pietyzmem te szczegóły architektoniczne, które utrzymały się do naszych czasów w swej dawnej postaci: tak było z kamienicą Sobieskich, odznaczającą się niezwykle bogatą i oryginalną dekoracją rzeźbiarską. Swobodna ręka barokowego artysty nagromadziła tu rzędy kariatyd, maskaronów, medalionów i amorków. „Cała ta bogata ornamentyka jest po prostu nadzwyczajna w swej naiwności i rubasznosci form, a jednak ma w sobie wiele fantazji twórczej, tak, iż mimo nieudolnej roboty, są nam te rzeźby swojskie” — pisał o tej kamienicy jeden z historyków sztuki. W domu tym zatrzymywał się Jan III Sobieski podczas swych pobytów w Lublinie. Tu mieszkali jako jeńcy wojenni car Wasyl Szujski i jego bracia, tu wreszcie stawali: król szwedzki Karol XII i car Piotr Wielki.

Gdyby na wieczór jeden zaludnić Rynek Lubelski najślawniejszymi postaciami, które z tym miastem były związane, lub tylko się przez nie przewinięły, jak niezwykle i barwne ujrzelibyśmy widowisko! Oto Jan Kochanowski przemawia w sprawie swego szwa-

gra, zamordowanego przez Turków w wyprawie poselskiej. Słucha wieszczka » ulubieńca muz z szacunkiem Trybunał Lubelski — gdy nagle ten pada bez zmysłów, rażony atakiem apopleksji. Pogrzeb, który jak twierdzi jeden z naszych historyków sprawiono poecie w Lublinie, przekraczał wspaniałością wszystko, co tu widywano. Szli za trumną najprzedniejsi obywatele kraju, Jan Zamojski, kanclerz Opaliński, sędź Trzeciecki i Klonowicz, autor „Żalów nagrobnych” po tragicznie zmarłym, na czele zaś pochodu kroczył miał sam król, Stefan Batory.

Kim Jan Kochanowski dokonał żywota w Lubelskim Trybunale, przyniósł już sławę temu miastu inny pisarz, znany z dowcipu, z poczucia godności narodowej i „rogatej duszy” — Biernat z Lublina, który pobierał tu nauki w szkole parafialnej, a potem pomagał Piotrowi Kallimachowi w prowadzeniu korespondencji; on to pierwszy torował ścieżki literackiej polskiej mowie przed Janem z Czarnolasu. Warto też wspomnieć o Jakubie Lubelczyku, tłumaczu „Psałterza Dawidowego” i przyjacielu Reja. A i Mikołaj Rej do majątków swych położonych w lubelskiem jadąc, po drodze Lublin niejednokrotnie odwiedzać musiał. A Klonowicz? ów zacny i szlachetny Acernus, jedna z najpiękniejszych postaci starego Lublina. Pracowity, niełatwy i wzruszający żywot tego pisarza związany jest ścisłymi więzami z tym miastem. Tu przywędrował on ze Lwowa, pełniąc zrazu funkcje pisarza urzędu wójtowskiego, potem został ławnikiem, wójtem, wreszcie burmistrzem. W ciągu dwudziestu kilku lat przeszedł przez całą hierarchię miejskich urzędów, nie zaznawszy wielu radości, nieszczęśliwy w pożyciu domowym, zwalczany przez duchowieństwo i szlachtę, której nadużycia śmiało wytykał, ulubiony przez ubogą ludność, z którą wiele miał do czynienia w swej pracy, m. in. jako sędzia do spraw żydowskich. Jest on autorem dzieł, w których nie jedna stronica poświęcona została sprawom ówczesnego ludu. Znakomity ten pisarz zakończył życie w przytułku, w ramionach samarytan, budząc po wieczne czasy swym biednym zgonem zamyślenie, współczucie i żal potomnych.

Dom Klonowicza, mieszczący się w Rynku pod numerem 2, należy do najciekawszych: tu mieści się jedyny zachowany w Lublinie dziedzińczyk arkadowy, jakby żywcem przeniesiony z dawnych czasów. Na fasadzie domu, obok portretów Reja, Biernata z Lublina i Wincentego Pola, znajduje się również wizerunek Klonowicza.

Skoro już mowa o sędziowskich obowiązkach Klonowicza, wspomnijmy, że w epoce tej Lublin stanowi ośrodek oświaty i kultury żydowskiej: tu w XVI i XVII wieku odbywały się w czasie jarmarków synody Wielkopolski, Małopolski, Rusi Czerwonej i Ukrainy, tu powstała pierwsza w Polsce szkoła talmudyczna, tu założono w epoce Odrodzenia jedną z pierwszych drukarni żydowskich, zasłużoną w historii drukarstwa.

Osobny rozdział należy się Trybunałowi Lubelskiemu.

Pisarzy, co się w Lublinie, w Trybunale Lubelskim o swoje dobra prawowali, można by wyliczyć wielu: przebywał tu czas jakiś Wacław Potocki, któremu Elżbieta Tarłowa wytoczyła proces o arianizm; lubelskie, to przecież jeden z najczynniejszych ośrodków ruchu ariańskiego. Oprócz dwóch zborów lubelskich istniały zbory również w Lewartowie (obecnie Lubartowem zwanym). Piaskach, Milanowie i Siedliskach. Żywa jest jeszcze w Lubelszczyźnie tradycja związana z arianami. Niejedna tutejsza opowieść ludowa nawiązuje do ich życia i tragicznego końca, a miejsca po zburzonych zborach otoczone są często tajemniczą legendą.

Zatrzymywał się tu również w sprawach majątkowych Kochowski. Słynnym opisaniem Lubelskiego Trybunału w „Doświadczyńskim” zasłużył się temu miastu najelegantszy z biskupów i pisarzy epoki stanisławowskiej, Ignacy Krasicki. Mieszkał czas długi w Lublinie Kajetan Koźmian, na którego pamiętniki jeszcze powoływać się będziemy, otarł się o Lublin Feliński, przyjaciel Koźmiana, nie ominął również „koziego grodu” Julian Ursyn Niemcewicz, zapalony poza pisarstwem podróżnik i skrzętny opisywacz wszystkiego, co dane mu było w bogatym i urozmaiconym życiu na własne oczy obejrzeć. W Lublinie też uczęszczał do szkoły J. I. Kraszewski, urodził się tu Wincenty Pol, który zresztą ani jednego utworu swemu rodzinnemu miastu nie poświęcił. Obie kamienice, jedna, w której urodził się Pol, druga w której przez czas jakiś mieszkał późniejszy niestrudzony pisarz historyczny J. I. Kraszewski, noszą pamiątkowe tablice.

Wspomina również Lublin — choć z uzasadnionymi przez los żałami — Narcyza Zmichowska, która tu za działalność w organizacji spiskowej osadzona została jesienią 1845 r. w klasztorze karmelitanek, gdzie przebywała przez dwa lata i cztery miesiące: „Lublin śliczny z każdej strony widnokregu, gdzie tylko na pół wiorsty od niego staniesz, to pejzażyk do „Meyera Universum”, ale we środku szkaradny, bo mi z niego wyjechać nie wolno”.

Wybucho druga wojna światowa, następuje czarna noc okupacji hitlerowskiej. Pod Lublinem powstaje potworny obóz koncentracyjny Majdanek, w którym znajduje śmierć blisko milion niewinnych ofiar faszyzmu. Okupant wysiedla i wysadza w powietrze całą dzielnicę Podzamcze, nad którego martwym usypiskiem wznosi się samotnie złowieszczą sylwetą zamkowego więzienia.

Po 5 latach okaleczone i zdziesiątkowane miasto doczekało się wreszcie chwili wyzwolenia. Dnia 20 lipca 1944 roku wojska radzieckie sforsowały Bug. Wraz z oddziałami radzieckimi wkroczyły na Lubelszczyznę oddziały I Armii Wojska Polskiego. W Lublinie, w gmachu przy ulicy Spokojnej znalazł swą siedzibę Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Stąd rozeszła się wieść o ogłoszonym w Chełmie Manifeście Lipcowym, który zmienić miał podstawy ustrojowe naszego kraju, oddając ziemię w ręce chłopu, fabryki w ręce robotników. W lubelskiej siedzibie PKWN zaczęły tworzyć się i rozwijać załączki naszego aparatu państwowego. Tędy przepływały w ciągu dnia setki ludzi, tutaj zwracano się w najróżnorodniejszych sprawach, od najbardziej osobistych do takich, które zaważyć mogły na losach setek obywateli. Gorączkowy nastrój tych pierwszych, mrowczo pracowitych tygodni, atmosfera dziejowej doniosłości wydarzeń przenikająca wszystko dokoła, zapotrzebowanie na ludzi zdolnych, dzielnych, pełnych inicjatywy spletają się dziś w jedno bogate i niepowtarzalne we wspomnieniu wzruszenie. Ze wszystkich stron kraju ścigały do Lublina tłumy przybyszów, często obdartych, zarośniętych i wychudzonych, którzy z lasów, z ukrycia lub miejsc kaźni hitlerowskiej dążyli tu, pragnąc na własne oczy sprawdzić zasłyszane zdała, jakże upragnione wieści. Chętnych do pracy nie brakowało. Wiara w przyszłość i szczery patriotyzm stanowiły najwyższy nakaz i potrzebę tych dni. Ludzie z najróżniejszych miast i środowisk mieszkali i pracowali w niezwykle serdecznej ze sobą bliskości. Najodmienniejsze sprawy: wielkich zamierzeń gospodarczych, kultury, komunikacji, transportu i szkolnictwa, omawiane były w gorących dyskusjach niemal jednym tchem. Wszyscy interesowali się wszystkim, fachowcy byli w wyjątkowej cenie, ludzie dobrej woli witani byli w każdej dziedzinie z równą radością. Za pierwszą gazetą zatytułowaną „Rzeczpospolita”, w której pierwszym numerze, datowa-

nym w Chełmie 23 lipca 1944 roku ukazał się „Manifest” — począł wychodzić pierwszy tygodnik literacki „Odrodzenie”. W teatrze lubelskim zespół I Armii wystawił po raz pierwszy polskie sztuki Wyspiańskiego, Zapolskiej. Nowe życie rozszumiało się wezbraną falą. O tych dniach pisze w swoich wspomnieniach Jerzy Putrament:

„Przez pierwsze pół roku Polski jej sercem był Lublin. Przez pierwszych parę tygodni sercem Lublina była ulica Spokojna. Trzypiętrowy, nie większy od przeciętnego gimnazjum dom. Tam było wszystko — cały rząd, czyli po ówczesnemu Pekawuen, wszystkie „resorty”, czyli ministerstwa, wszyscy „kierownicy resortów”, czyli ministrowie. I jeszcze wiele innych urzędów. Bardzo osobliwie to wyglądało. Rozrost aparatu odbywał się w niesłychanym tempie. Są takie stadia rozwoju embrionu, kiedy komórki dzielą się kilka razy na minutę. Z resortów wyłaniały się departamenty, z departamentów — wydziały, z wydziałów — referaty, z referatów — sekcje. Improwizowano na skalę dotąd niespotykaną. Potok zwykłych ludzi wdierał się przez drzwi jeszcze bez przepustek, na chybił — trafił, stamtąd zaś wychodzili już stateczni urzędnicy.”

Jako pierwsza siedziba nowego ludowego państwa nawiązał Lublin do swych dawnych tradycji postępowych. Ziemia ta pamięta przecież działalność reformatorską Stanisława Staszica, „Złotą Książeczkę” Piotra Ściegiennego, bohaterskie boje Stanisława Brzózki, rozstrzelanego przez carski pluton egzekucyjny. Chlubną tę przeszłość mają w pamięci rewolucyjni działacze kierujący w roku 1905 ruchem młodego lubelskiego proletariatu. W styczniu owego roku robotnicy Lublina zastrajkowali na znak protestu przeciw krwawej masakrze w Petersburgu, w czerwcu odbył się w Lublinie strajk powszechny w imię solidarności z bojownikami łódzkich barykad. Strajki odbyły się również w lipcu i grudniu. Rewolucyjne wrzenie zataczało coraz szersze kręgi nie tylko wśród proletariatu miejskiego, ale i wśród robotników rolnych. Lubelskie manifestacje robotników kończyły się zazwyczaj pochodem na grób księdza Ściegiennego, wielkiego patrioty i bojownika o wolność, organizatora, niedoszedłego do skutku powstania chłopów w 1844 roku. Na jednej z takich manifestacji roku 1905 znalazł się również, w uczniowskim jeszcze ubraniu, Bolesław Bierut, który przez długie lata mieszkał, pracował i działał w Lublinie.

W listopadzie 1918 roku robotnicy lubelscy pod wodzą SDKPiL i PPS-Lewicy utworzyli pierwszą na wyzwolonej ziemi polskiej Radę Delegatów Robotniczych. Jednym z pierwszych dekretów Rady Lubelskiej był dekret o ośmiogodzinnym dniu pracy. Nie pozostawała w tyle i wieś lubelska: za przykładem robotników Lublina fornale i biedota wiejska w całej Lubelszczyźnie tworzą wówczas komitety folwarczne, silne zwłaszcza w powiatach zamojskim, lubartowskim, krasnostawskim i puławskim. W ślad za strajkami miejskimi następują strajki rolne: w pierwszych dniach stycznia 1919 roku strajkuje tysiąc pięćset folwarków. Co czas jakiś zjeżdża na wieś żandarmeria dla zastraszenia organizujących się robotników rolnych; aresztowania a nawet zabójstwa działaczy rewolucyjnych są na porządku dziennym.

Nazwiska wymienionych ludzi znaczą bieg wieków. Mija epoka bujnego rozkwitu jaki przeżywał Lublin w stuleciu szesnastym i częściowo siedemnastym, nadchodzą lata klęsk, spustoszeń szwedzkich i upadku. Podobny zresztą los stał się udziałem innych miast polskich. Niezwykle ciekawym dokumentem z tej epoki, kiedy to Lublin jeszcze nie całkiem zapomniał o dawnym dostatku i rozgwarze, a równocześnie popadał już w coraz posępniejsze opuszczenie — są pamiętniki Kajetana Koźmiana. Ten okres wahań i wzdrzania się przed osunięciem w całkowite ubóstwo, jaki przeżywa w owej epoce błyszczące

niegdyś miasto, znajduje w tych pamiętnikach swoje znakomite zwierciadło. Ponieważ jest to jeden z nielicznych tak barwnych dokumentów z życia Lublina, warto o nim przypomnieć. Píše więc najpierw Koźmian, z pewnością nieco przesadzając, że „pozyskać wtedy opinią Lublina było to pozyskać opinią całej Polski” i dalej: „podówczas cała prawie Polska mieszkała w Lublinie dla interesów prawnych i zabaw w tym mieście przy trybunałach” — ale zaraz obok następuje takie opisanie: „Lublin nie przedstawiał się podówczas w takiej jak jest teraz postaci: nosił on na sobie smutne i nienaprawione jeszcze ślady dwóch wojen szwedzkich, rosyjskiej i ostatniej świeżej konfederacji barskiej. Po trzykroć spalony i spustoszony, w większej połowie swego dawnego stanu był napełniony sterczącymi i opalonymi murami, lub zepsuty gruzami i słabo się z nich dźwigał. Krakowskie Przedmieście od strony Świętoduskiej ledwie jeden dom wielki w całości, kamienią Tomasza Węgrzyna zwany, zachowało; małe kamieniczki o dwóch lub trzech oknach z facjatami na jedno piętro murowanymi i z tyłu z drewnianymi zabudowaniami, w gęstych przez rudery przerwach stanowiły jedną stronę ulicy, na przeciwniej połąci ten sam obraz. Zaczynał ulicę od krakowskiego wjazdu dom nowy drewniany Rojewskich, na kształt dworu, zajezdny, a kończyły ku bramie krakowskiej kamienice opustoszałe i okopcałe. Na Korcach za pojezuickimi gmachami jeden tylko dom wyreparowano Gizowskiego Węgrzyna. Ulica Grodzka w podobnie nędznym stanie. W samym rynku, na wszystkich czterech połąciach kamienice po większej części puste, lub w gruzach, oprócz pięknych kamienic Makarewiczów, Stefanowskiego, handlujących winem, starożytnej struktury kamienicy Zdziarskich i odbudowanej Nosadynich, reszta domów niemieszkalnych, lub tylko mieszkalnych na dole. Gmachy, które pałacami nazywano, Radziwiłłowski, pod Reformatami, Sapieżyński naprzeciw kolegium pojezuickiego, Sanguszowski naprzeciw Wizytek gmach, większa liczba klasztorów w części tylko zamieszkałe. Co mówić o bramie krakowskiej, żydowskiej: i bramy i mieszkania na nich zwaliskiem, groziły. A kiedy chrześcijańskie ulice i rynek były w tak opłakanym stanie, łatwo sobie wyobrazić, czym było przedmieście żydowskie i cała jego ulica, jedna od Tatar, druga od spalonego i opustoszałego zamku prowadząca, przy którym dom lichy mieścił archiwum grodzkie, skład obywatelskich majątków, bo ziemskie i trybunalskie w dominikańskim klasztorze jako w komornem spoczywało... Prócz rynku żadna ulica nie znała bruku. Od ulicy Pojezuickiej nie można się było dostać suchą nogą do ratusza, trzeba się było na koniu babrać i zabryzgiwać, bo pojazdem dla kałów i bojaźni przewrotów poruszać się było niebezpiecznie... Żadnej policji w mieście, żadnej straży od ognia i żadnych narzędzi, chociaż był magistrat, który się w lichej kamienicy własnej na kapitalnej ulicy mieścił, a starosta lubelski miał obowiązek czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem... Stanisław August jadąc do Wiśniowca przez Lublin, znalazł zakazane przez siebie bramy tryumfalne, a nim się dobrał do ratusza, z landarą uwiązał w błocie przed bramą Świętoduską, że go nawet cugi marszałka Olizara wyciągnąć nie mogły, aż zaprzęgano woły.

Żadna ulica nie miała latarni, ledwie przed ratuszem dwie się tylko paliły. Idąc pieszo ubożsi nosili latarki ze świeczkami... Noszono buty safianowe, żółte, czerwone lub zielone, a trzeba było w nich po błocie deptać i suknie jedwabne zaszargiwać. Za pojazdami zwykle stawało dwóch lokajów lub hajduków z zapalonymi pochodniami, przed pieaszymi służący nosił płonąca pochodnię, otrząsali je o rogi kamienic lub uderzali nimi w drewniane bariery dla lepszego rozjaśnienia. Kawały rozpalonej smoły długo potem

gorzały na ulicy, stąd dym i para. To jedno było światło, które ciemne, błotniste i po części drewnianymi domami poprzecinane ulice oświecało — między cuda policzyć należy, że się kiedy pożar nie wszczął.

Dopiero Kajetan Hryniewiecki, wprzód kasztelan kamieniecki, a potem wojewoda lubelski, mąż prawy, nieskażony i czynny wielką usilnością, wytrwałością i pracą wy dobył te opuszczone i nieszczęśliwe miasto z rozwalin, z popiołów i błota. On też stanął na czele komisji boni ordinis..."

Być może owa działalność komisji „boni ordinis" czyli komisji porządkowej, okazała się błogosławiona w skutkach, ale nie na długo. Lublin tak podupada stopniowo w ciągu następnego wieku, że w pierwszych latach XIX stulecia liczy zaledwie około 7 tysięcy mieszkańców. O dawnym jego znaczeniu pamięta już tylko historia. Dopiero wraz z początkami rozwoju przemysłowego, kiedy ludność wiejska poczyna ściągać z okolicy do miasta, Lublin powoli dźwiga się z długotrwałego upadku. Powstają tu liczne warsztaty rzemieślnicze, przekształcające się często w drobne fabryczki, poczyna rozwijać się przemysł spożywczy. Lublin obrasta w drobne cegielnie, w cukrownie i garbarnie. Nie zapominajmy, że jest to miasto leżące na jednej z najurodzajniejszych wyżyn Polski. Możliwości wynikające z tak korzystnego położenia Lublin wykorzystuje w nieznanym tylko stopniu. Perspektywy rozwoju ekonomicznego zarysowują się dość nagle, a jedyne większe inwestycje miejskie, takie jak gazownia czy rzeźnia, powstają przy udziale kapitału zagranicznego.

Niechlubne tradycje pacyfikacji wiejskich podtrzymuje rząd Polski sanacyjnej. Pacyfikacje gromady Żuków w powiecie hrubieszowskim, w gromadzie Iłowiec, Hajowniki, Suchodębie, Skierbierzów i wielu innych, przeszły do mrocznej historii tych lat: więzienie lubelskie nigdy nie było dość obszerne, by pomieścić tych wszystkich, którzy słowem i czynem domagali się społecznej sprawiedliwości, walczyli o ideę socjalizmu. Okupacja hitlerowska nie zahamowała tej walki, połączonej ze zbrojnymi wystąpieniami przeciw wrogowi. Setki ludzi zginęły dla przyszłości umiłowanego kraju. Ci, którzy przetrwali, budują go dziś w trudzie i poświęceniu.

Lublin powojenny to miasto o dużej przyszłości. Dzięki założeniu Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej uważane jest za jeden z najbardziej aktywnych ośrodków życia naukowego w Polsce. Równocześnie zaś staje się ono ważnym centrum przemysłowym.

Przed wojną typowym dla Lublina zjawiskiem były, obok kilku większych fabryk, setki drobnych warsztatów wytwórczych i niewielkie fabryczki, sterczące wysokimi kominami w niebo, lub ukryte w głębi bram: jakaś fabryka octu wypełniająca okolice Bramy Trynitarńskiej ostrym, kręcącym w nosie zapachem, fabryka wód mineralnych i słodczy, destylarnia wódek, browar: z większych — garbarnie — wytwórnie wyrobów młynarskich, cegielnie i "znana lubelska fabryka wag. Mimo że warsztatów tych było mrowie, nie mogły one zapewnić pracy tysiącom bezrobotnych (w Lublinie i woj. lubelskim, około 40 tysięcy robotników i ponad 200 tys. chłopów pozostawało bez pracy w ciągu sześciu miesięcy w roku). Podobnie Katolicki Uniwersytet, żyjący z darowizn, nie mógł pomieścić młodzieży pragnącej zdobyć wyższe wykształcenie. Perspektywy rozwojowe

ówczesnego Lublina przedstawiały się dość martwo, nie zakrojono na większą skalę żadnego planu, który by uruchomić mógł niewykorzystane rezerwy ludzkie i przemysłowe. Dziś w Lublinie powstała największa w Polsce fabryka samochodów ciężarowych, po raz pierwszy w historii polskiego przemysłu produkująca ciężarówki o nośności pięciu ton; drugim poważnym obiektem wybudowanym w Lublinie w ciągu dziesięciolecia jest wytwórnia sprzętu komunikacyjnego, produkująca m.in. urządzenia dla nietypowych wozów osobowych i ciężarowych, części zamienne do traktorów oraz sprzęt mechaniczny dla rolnictwa. Rozbudowana została również z małej fabryczki, obecnie największa w Polsce Fabryka Miar i Wag. Te trzy wymienione zakłady zatrudniają więcej robotników niż cały przemysł województwa lubelskiego w roku 1938. Wystarczy przypomnieć, że w roku 1938 Lublin zużywał zaledwie niecały jeden procent energii elektrycznej produkowanej w Polsce. Dziś dla potrzeb przemysłu i odbudowujących się miast trzeba było wybudować dwie nowe elektrownie.

Cztery nowe uczelnie, które powstały tu po wojnie: Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej, Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza i Szkoła Inżynierska zasilały stale fabryki i instytucje społecznej użyteczności nowymi fachowcami, a ponieważ z warsztatów i placów budowy napływają wciąż nowi ludzie pragnący uzyskać specjalizację naukową, dokonuje się w ten sposób stała i obustronna wymiana między warsztatami pracy i nauki.

Lublin cierpiał przed wojną na głód mieszkaniowy. Bołączka ta zwiększyła się jeszcze po wojnie, zarówno w wyniku zniszczeń wojennych i długotrwałego braku remontów, jak i rozbudowy przemysłu. W ciągu dziesięciolecia wzniesiono nowe osiedla robotnicze dla około dwudziestu tysięcy ludzi i rozpoczęto budowę nowego miasteczka uniwersyteckiego (przewiduje się, że w przyszłości znajdzie tu pomieszczenie dziesięć tysięcy studiującej młodzieży).

Dzisiejszy Lublin liczy około 130 tysięcy mieszkańców, z których około 35 tysięcy zatrudnionych jest w miejscowym przemyśle. Plan generalny przewiduje, że od roku 1970 Lublin będzie miastem liczącym około 250 tysięcy mieszkańców, z dziewięcioma nowymi osiedlami mieszkaniowymi, w których powstanie czterdzieści nowych przedszkoli, sześćdziesiąt dwie nowe szkoły podstawowe, dwadzieścia zawodowych, osiem szpitali, setki sklepów i warsztatów mechanicznych; założony zostanie 100-hektarowy park ludowy, 125-hektarowy teren sportowy i wiele innych urządzeń.

Tak oto, w bardzo pobieżnym skrócie wyglądają osiągnięcia i plany gospodarcze nowego Lublina. Na nieożywionych dotąd krańcach miasta, na cichych i pozbawionych charakteru przedmieściach powstają dziś nowe zakłady przemysłowe i osiedla. Lublin rozrasta się coraz bardziej, coraz bardziej oddalają się jego granice od piastowskiej kolebki — starego miasta. Ale piękna ta dzielnica pozostała nadal oczkiem w głowie mieszkańców Lublina. Nic w tym dziwnego. Ile bowiem pozostało w zniszczonej Europie takich uroczych średniowiecznych uliczek, jak biegnąca wzdłuż dawnego muru miejskiego ulica Szambelańska w Lublinie? Ile jest jeszcze takich dziedzińczyków z arkadami i podwórz z drewnianymi balkonami porośniętymi wokół dzikim winem?

Kiedy więc już napatrzycie się dowoli na panoramę Lublina, na kontury jego domów i wież rysujących się delikatnie na tle nieba, rozpocznijcie wędrówkę po jego zaułkach, po starych bramach domów, po zabytkowych kościołach, po uroczych skwerkach. Zajrzyjcie do Ogrodu Miejskiego zapraszającego szumem starych drzew, w których cieniu kryją się ławeczki z widokiem na szerokie trawniki rozciągające się po falistych pagórkach. Zajrzyjcie do Muzeum Lubelskiego i do czytelni przy Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego. w której znaleźć można niejedną ciekawą dokument z dziejów tego miasta. Powędrujcie szlakami starego i nowego Lublina, a z pewnością nie pożałujecie tego. Miasto to bowiem warte jest naszej miłości.

JULIA HARTWIG